

## Od Redakcyi.

Z powodu nawału aktualnego materiału ilustracyjnego zmuszeni byliśmy dalszy ciąg powieści A. Gruszeckiego p. t. „**Pod Czerwonym Wirchem**” odłożyć do następnego numeru.

# Kronika tygodniowa.

Rok szkolny 1914. rozpoczął się już w całej pełni. Wszystkie nasze fabryki oleju, czyli szkoły niższe i średnie, w pełnym ruchu, jak on jednak wygląda, wiedzą dobrze ci, którzy w bezpośrednim kontakcie z nimi pozostają.

Przedewszystkiem więc młodzież w szkołach ludowych gniecie się w klasach, niczem śledzie w becze, fundusze krajowe nie pozwalają bowiem na otwarcie oddziałów równorzędnych, choć sił nauczycielskich, czekających na posady, jest nawet za dużo.

To samo można powiedzieć i o szkołach średnich, które o tyle jeszcze są w gorszym położeniu, iż tutaj corocznie zmienia się podręczniki, a wydawcy z zasady spażniają się. Rok szkolny już się zaczął, miecz Damoklesa, w postaci dwójki, wisi codziennie nad każdym gimnazystą, a tutaj niewzruszony księgarz odpowiada zawsze jednakowo na pytanie:

— Bardzo przepraszam! W druku!... Za kilka dni nadejdzie!

Jeśli już postęp wiedzy wymaga tego koniecznie, aby podręczniki szkolne zmieniano co rok, należałoby się postarać, by przygotowano je na czas, to jest, by przed początkiem września mogły już oglądać światło dzienne na pulkach księgarskich. Kto ma syna w szkole, ten wie, z jakimi to jest połączone przyjemnościami.

Profesor nie może pozwolić na to, by chłopak bez książki siedział w klasie i nie uważał, a skąd tu wziąć podręcznik, skoro on jeszcze w druku?... Za „oberwane” w ten sposób dwójce powinien być odpowiedzialny autor, o ile *nota bene* jeszcze żyje, ewentualnie wydawca, choćby nawet była nim sama c. k. Rada Szkolna krajowa.

W ubiegłym stuleciu, gdy miał przyjemność uczęszczać do galicyjskich szkół średnich, było zupełnie inaczej, podręczniki nie mnożyły się, jak grzyby po deszczu, nie cierpiała na tem kieszeń biednych ojców, a i młodzież wychodziła na tem lepiej. Niech bowiem mówi, kto co chce, ja tam należę do zafańców i twierdzę stanowczo, że obecne młode pokolenie stanowczo nie dorosło do dawniejszych.

Nie jest to samochwalstwo, ale rzeczywista prawda.

Oj, bo rzeczywiście lepsze daleko były te dawniejsze czasy... Chłopak kontent był, gdy mu przerobiono ubranie z rodziciela i zadowolony zadzierał nos do góry, ale nie tak buńczucznie, jak tegoczesny, przybrany w chomonto, zwane wysokim kołnierzem, które absolutnie nie pozwalało mu nawet spojrzeć na ziemię. Może to zresztą i lepiej, niechaj młodzież szuka w górze ideałów!... Inexprimable najnowszego kroju, czapka, wysokością przypominająca cylinder, do tego od czasu do czasu papierosik w ustach i mina pewna siebie (tak zwana „co mi zrobisz!”)... oto konterfekt części naszych pociech i nadziei na przyszłość.

Z książkami rzecz miała się w ten sam sposób.

Podręcznik wydany raz, przetrwał nieraz lat kilkanaście i mogło się na nim kształcić kilku braci.

Dziś doda autor lub wydawca dwa lub trzy przecinki i mamy już nowe wydanie. A każdy pedagog wymaga, by młodzież się w nie zaopatrzyła.

Nie przeczę, że w ten sposób ożywia się ruch drukarski i handel księgarski, ale piszczy znów biedny ojciec rodziny, który ma w gimnazjum, dajmy na to, trzech synów, a dla każdego musi kupić „nowe wydanie”, bo tamto, z którego czerpał wiedzę starszy brat, jest już doniczego...

Bez książki trudno się zaś uczyć, choć znałem we wschodniej Galicyi pewnego c. k. światłodawcę, który był innego zupełnie zdania. Jako zawiadowca biblioteki dla biednych uczniów wypożyczał on im podręczniki szkolne, znany zaś był z tego, że nigdy nie miał czasu i zawsze mu się spieszyło.

Tłumy młodzieży oblegały drzwi biblioteczne, gdyż pan profesor zapowiedział przybycie swe na godzinę trzecią, tymczasem wybiła już czwarta, a o nim ani słyhu, ani dychu... Wreszcie zjawia się na korytarzu, chłopcy zadowoleni, że skończy się czekanie, dowiadują się przecie, iż pan profesor idzie dopiero na obiad...

Pytają się więc z ciekawością:

— A kiedy pan profesor wróci?

— Za godzinę, za dwie!... — brzmi odpowiedź.

Jedni idą więc na spacer, by powrócić za dwie godziny, inni czekają.

To powtarza się przez cały wrzesień, październik i tak dalej, gdzieś w marcu rozdawnictwo książek już skończone, ale po to tylko, by w początkach kwietnia rozpocząć ich odbieranie, gdyż kurs się kończy, a zaraz po rozdaniu świadectw pan profesor musi wyjechać na świeże powietrze celem poratowania zdrowia, więc przedtem musi się załatwić z biblioteką...

Kto był szczęśliwy, cieszył się książką szkolną dwa lub najwyżej trzy miesiące, gdyż do tego trzymano się tam tego zwyczaju, iż pożyczający nie otrzymywał podręcznika, ale kwitek do introliigatora, na podstawie którego musiał od niego wykupić za kilka centów książkę, daną do oprawy.

Pan introliigator zaś nie spieszył się wcale, zwłaszcza, jeśli miał jakieś pilniejsze i popłatniejsze roboty, niż łatanie i oprawianie różnych odwiecznych szpagatów.

Dajmy jednak spokój szkole, co jest w niej złego, tego kronikarz nie naprawi, na to musi się złożyć praca całego społeczeństwa. A na to potrzeba czasu.

Początek roku szkolnego zszedł się z początkiem pogody, na którą czekaliśmy cierpliwie przez prawie trzy miesiące. Powiada przysłowie: „Błogosławieni cierpliwi”, nasza cierpliwość została nagrodzona i szczęśliwym się czuje każdy, kto na wrzesień i październik odłożył swój urlop, będzie bowiem mógł z niego naleyście skorzystać. Ci, którzy powrócili z letnich wyjazdów, opowiadali mi, iż przez sześć tygodni mieli aż sześć dni pogody i to raz aż dwa bezpośrednio po sobie następujące, ale zato potem lało jak z cebra przez trzy dni!

I ja skorzystam, zdaje się z pięknej polskiej jesieni i wybiorę się gdzieś na wojaż, najprawdopodobniej do Styryi na polowanie na ową apokaliptyczną bestię, która, jak donoszą „Nowiny”, nie przestaje niepokoić tamtejszych okolic.

Z opisu „naocznych” świadków, którzy widzieli i nie widzieli potwora, wnoszą rzeczoznawcy, że jest to może lew, może tygrys, może smok... kto tam zresztą może wiedzieć!

Ponieważ zwierzę zeszłego tygodnia wyrządziło wiele szkód w bydle, nadleśniczy postanowił przeszkukać okolicę, a znalazły ślad, że tutaj potwór spoczywał po obiedzie, z pięciu myśliwymi wybrał się na polowanie... Pies odkrył trop i wypłoszył z gąszczów drapieżnika. W odległości może dwudziestu kroków stał dzielny myśliwy, niejaki pan Spengler, który tak się przeraził, że nawet nie myślał o strzelaniu, a zagadkowy zwierz umknął, gdzie pieprz rośnie, by się dalej postrach między poczciwymi Styryjczykami.

Pana Spenglera ogarnął tymczasem taki animusz wojenny, że odrzucił od siebie flintę i zaczął wołać w niebogłosy:

— Rany Boskie! Tylko nie strzelać, bo wszyscyśmy przepadli!

Z tego widać, że musi on być bardzo pokojowo usposobiony.

Myśliwi w ten sposób opisują potwora: Jest żółty, długości około dwu metrów, wysoki na metr, ma długi ogon, rozczapierzony na końcu.

Jakiś uczony pułkownik na podstawie tego wydał swe urzędowe orzeczenie, iż nie jest to ani niedźwiedź, ani wilk, ani ryś, lecz puma, jaguar, albo lew! Niektóre dzienniki donoszą, że najprawdopodobniej będzie to lwica, która przed rokiem uciekła z menażeryi w sąsiednim miasteczku i teraz prowadzi w lasach pustelniczy żywot, aby w ten sposób odpokutować za grzechy swoje i swych przodków.

Mógł zresztą żyć przed laty krokodyl we Wiśle (zastrzelił go p. Anczyc), dlaczego nie ma sobie lew, czy lwica, spacerować po lasach styryjskich! Czekają także śmierć, gdyż organ tamtejszych myśliwych ogłosił wezwanie do strzeleckiej braci, by pokazała, co umie i zgłaszała się do udziału w wojennej wyprawie na niebezpiecznego i niepokojącego okolicę szkodnika.

W pierwszej chwili, czytając to doniesienie, byłem pewny, że mam do czynienia ze zwykłą kaczką dziennikarską, pozostałością minionej niedawno „mokrej” kanikuly, jeden przecie z mych znajomych, który po piątej bombce zaczyna zawsze politykować, wytłumaczył mi, że jestem w błędzie.

— Panie łaskawy — mówił — proszę się tylko zastanowić nad tym zwrotem: ogon rozczapierzony na końcu!... Pan mnie rozumie?... Nie?... To do prawdy dziwne! Czy pan wie, że w czeskim herbie jest lew i to właśnie z rozczapierzonym ogonem?...

A widzi pan! Otóż ten to lew czeski nie daje teraz Austrii spokoju. To jest objaw symboliczny i niejako wskazówka, że książę Thun, hrabia Stürgkh i baron Heinold powinni urządzić nań polowanie, bo inaczej będzie źle!

— A może teraz na lwy jest czas ochrony? — zapytałem.

— Tego nie wiem, ale powiadam panu, że ta notatka nie jest bez „ale”. Jest ona najwidoczniej inspirowana i to do tego z najwyższych sfer.

Jeśliby jednak tak być miało, jak twierdzi mój interlokutor, w takim razie powinniśmy się spodziewać, że wnet i ekscellencya Korytowski ogłosi urzędowo obławę na lwa ukraińskiego, który samopas błąka się gdzieś w okolicy Lwowa i niepokoi Bogu ducha winnych c. k. obywateli, szukających reformy wyborczej, bo gdzieś się zapodziała.

To tylko bieda, że w obławie tej nie weźmie zapewne udziału pan Jan Stapiński, a zwolennicy jego wycofają się zupełnie z nagonki, choć z drugiej znów strony jestem prawie pewny, że między rządem, a ludowcami, „za każdą cenę” dojdzie do porozumienia. Wskazywałaby na to konferencja, jaką odbył ekscellencya Długosz z ekscellencyą Korytowskim. Wyrównano wówczas nieporozumienia, obaj dostojnicy oświadczyli sobie po przyjacielsku, że żadnych pretensji do siebie nie mają.

Pan Jan mimo to, w prasie oddanej sobie, zapewnia solennie, że urządzi obławę na grubego zwierza. W pierwszym rządzie ofiarą jego myśliwskiej żyłki ma paść hr. Stürgkh (ostatecznie zadowolony się i Korytowskim), potem nastąpi polowanie na duchowieństwo. W tym drugim wypadku nagonki dostarczy bezinteresownie prasa żydowsko-socjalistyczna, której to jest bardzo na rękę.

Stoimy więc wobec rozpoczynającego się sezonu jesiennego polowań politycznych, do których zaliczyć należy także i walkę o mandat do parlamentu z okręgu Podgórze-Bochnia-Wieliczka. Biedna demokracja nie może się w żaden sposób zdecydować na zniesienie jajka, to jest na postawienie kandydatury, wobec czego zdaje się przechylać szalą zwycięstwa na rzecz jedyne go dotychczasowego kandydata, przedstawiciela partii socjalno-demokratycznej, dra Bobrowskiego.

Z tego samego numeru „Nowin” dowiedziałem się także, że pośród metali panują rozmaite choroby, nawet epidemiczne. Autor dochodzi do wniosku, że wkrótce powstanie nowa wiedza, traktująca o tych słabościach i ich kuracji, oraz lekarze minerałów...

Zgadza się z tem najzupełniej, sam już od dłuższego czasu zbieram materiały do pracy o epidemii metalowej, jaka u nas panuje od dawna, a nazywa się chronicznym brakiem złota, srebra i miedzi.



**C. k. Dyrekcja kolei państwowych w Krakowie** podaje do wiadomości, że wobec nadchodzącego terminu wypracowania letniego rozkładu jazdy na rok 1914 tylko te życzenia i wnioski mogą być wzięte pod rozwagę, które interesowani przedłożą c. k. Dyrekcji kolei państwowych do dnia 25 września b. r.

Papierki i tutki  
cygaretowe

**ABADIE**  
PARYŻ

Do nabycia we wszystkich trafikach

**Różowe policzki czyli „kolory twarzy” upiększają choćby najbrzydszą twarz!**

Każda pani, czy młoda, czy starsza, powinna w pierwszym rządzie dbać o to. Niedokrewne blondynki o bladej twarzy, brunetki o marmurowej białości — te wszystkie zdradzają chorobliwy stan, jeśli nie pokryją go w sposób sztuczny i nieszkodliwy! *Lait des Roses* (mleko z róż) wyrobu Instytutu fizjoplastycznego w Paryżu nadaje bladym wargom i policzkom natychmiast po użyciu cudowny szkarłat. Pod każdym względem nieszkodliwy toaletowy środek, nie niszczący chociażby najdelikatniejszą skórę. Cena K 2.50. — Główny skład na Austro-Węgry: **Mr. Leszek Śladowski** nadw. dostawca, Lwów.